Nr. 6 Rok 5 Kraków, dnia 6 lutego 1944. 40 gr.

Ilustrowany

KU… …OLSKI

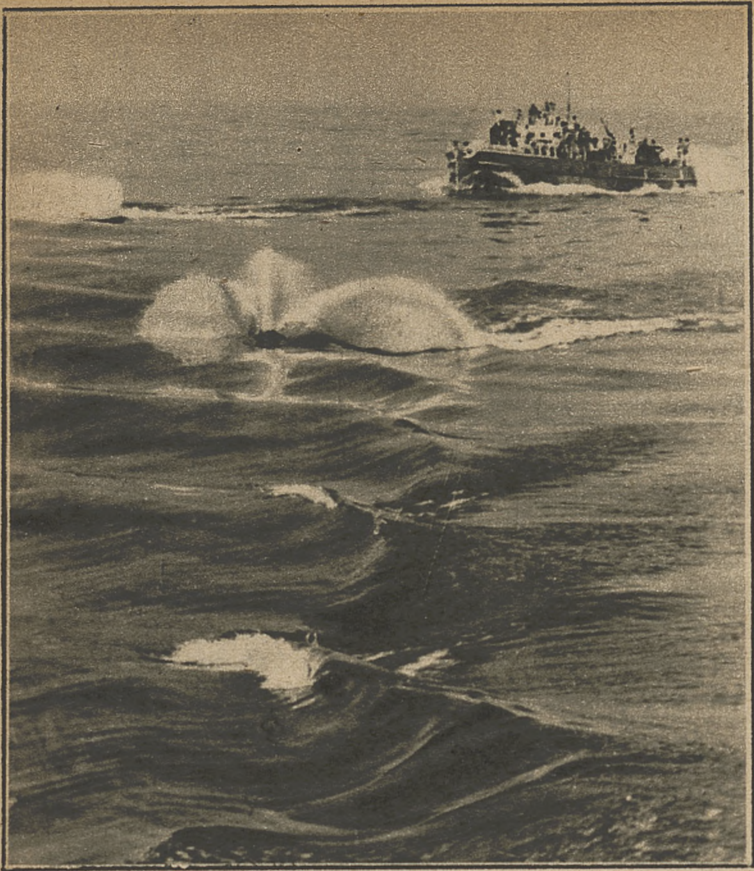


PREMIOWA ZBIÓRKA METALI

ODDANE ODPADKI PRZYNIOSĄ KORZYŚĆ

Fot: Borek

NA LĄDZIE I NA MORZU





Powyżej:

POŁAWIACZE MIN OCZYSZCZAJĄ MORZE

Niemieckie poławiacze min krążą bezustannie po morzach dokoła wybrzeży Europy, by znaleźć i zniszczyć miny założone przez nieprzyjaciela. Poławiacze min są to małe, szybkie łodzie, które przeszukują wodę przy pomocy specjalnego przyrządu tak zwanej „wydry". Na naszym zdjęciu (powyżej na lewo), widzimy charakterystyczne fale morskie, które tworzy prująca wodę „wydra", ciągniona przez łódź. Jeżeli „wydra" natrafi na minę, powoduje jej eksplozję (zdjęcie powyżej na prawo) i oczyszcza w ten sposób drogi wodne.

Poniżej:

NA WYRZEŻU KANAŁU LA MANCHE

Generał-feldmarszałek Rommel zwiedza umocnienia wybrzeża kanału La Manche, w czasie swej podróży inspekcyjnej po Zachodniej Europie





Powyżej:

STRAŻ NAD MORZEM ŚRÓDZIEMNYM

Żelazny pierścień umocnień opasał całą Europę. Nie tylko od strony wybrzeży zachodnich wybudowano silne umocnienia, ale i od południa nad brzegami Morza Śródziemnego budują Niemcy ustawicznie nowe umocnienia lub wzmacniają już istniejące. Na zdjęciu widzimy jak oddział piechoty ćwiczy obok olbrzymich zapór, które potrafią zatrzymać wszelki atak nieprzyjacielskiej broni pancernej.

Fot: PK. — Ohlenbostel (2), Huesgen — PBZ, Trihbes, Kurth, Koll — Scherl.





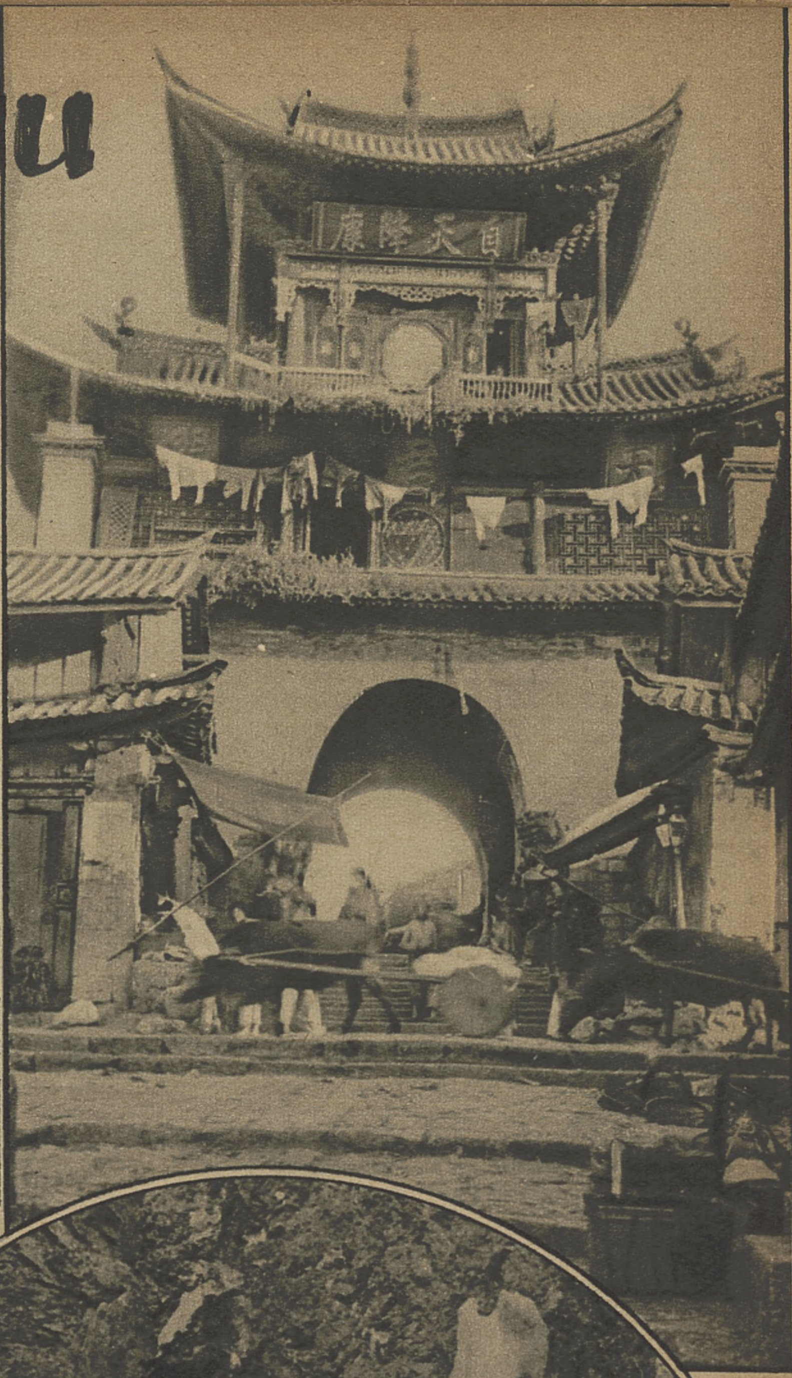
Powyżej i na lewo:

Z KAMERĄ NA FRONCIE

Niemiecki sprawozdawca wojenny fotografuje z rowów strzeleckich obstrzał pozycyj sowieckich przez artylerię niemiecką. Nawet z odległości wielu kilometrów można przy pomocy dalmierza uwiecznić na kliszy wydarzenia wojenne.

Typy z Czungkingu



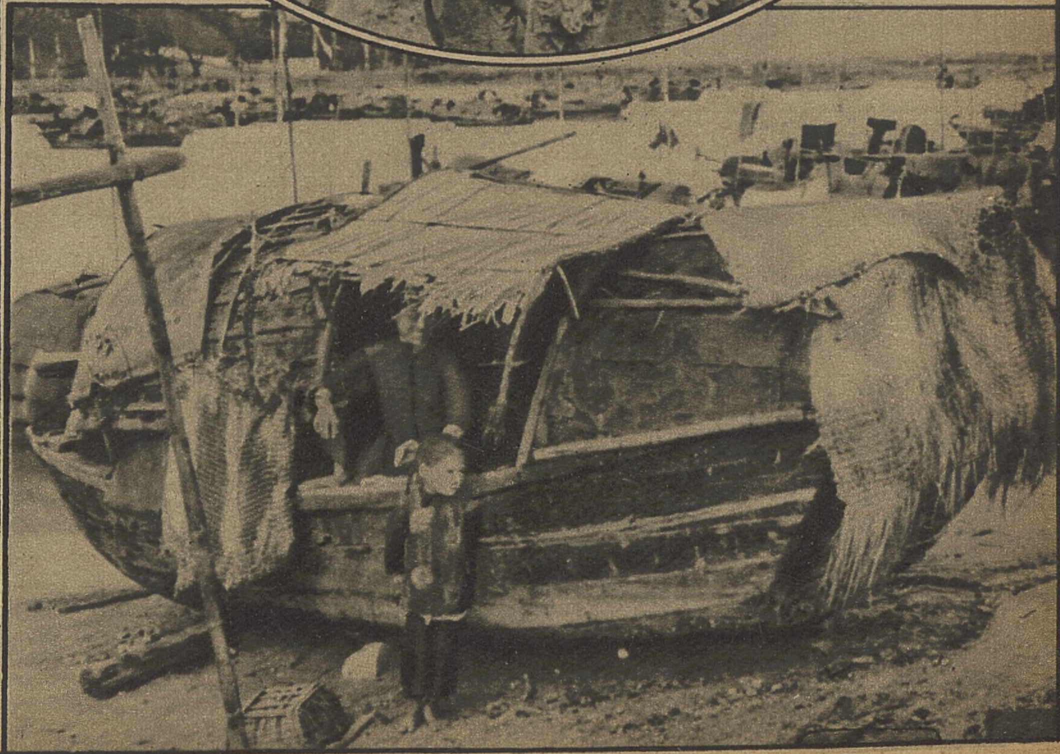


W ostatnich tygodniach zwiększyli Japończycy swój nacisk na Chiny Czung-kingu, i to zarówno od strony wybrzeży jak i od południowego-zachodu. Na skutek tego sytuacja wojsk Czangkaiszeka znacznie się pogorszyła, tym bardziej, że nie otrzymały one pomocy i odciążenia w postaci przyrzeczonego zaatakowania drogi Burmańskiej przez Anglo-Amerykanów. Produkcja przemysłowa i gospodarcza doznaje obecnie w Chinach zastoju, tak że zrozumiałym się staje pesymizm, którym przejone są nawet sprawozdania korespondentów amerykańskich w Czung-kingu.





Fot: Eurofot 4,
Arch. IKP 1.



Nasze zdjęcia przedstawiają: typy ludowe z Czung-kingu; dżonki — łodzie na których znaczna część ludności Chin spędza całe swe życie; jedną ze starożytnych bram miasta oraz prymitywny sposób wydobywania surowca w jednej z kopalń cynku.

NGENAKAN — GWIAZDA FILMOWA



Niejeden z nas oglądając jakiś egzotyczny film zastanawiał się nad sposobem „robienia" tego rodzaju scen, powątpiewając o autentyczności miejsca, akcji, a nawet aktorów. Wglądnięcie za kulisy pewnej ekspedycji filmowej da nam możność poznania „na gorąco" powstawania filmu. Notatki moje są ściśle autentyczne.

Cała ta historia miała początek swój w Kopenhadze, gdzie czyniłem przygotowania do ekspedycji na wyspy zwane Sunda. Nie byłem zdecydowany co do miejsca moich badań, gdy przypadek skierował mnie do mało znanej grupy wysp, daleko za Sumatrą. Spotkałem mianowicie znajomego, który opowiedział mi o grupie wysp Mentaweis, gdzie żyją ludzie, którzy jeszcze nie wyszli w swoim rozwoju z epoki kamiennej. Dla moich celów było to wymarzone wprost miejsce. Nic więc dziwnego, że wobec takich zalet wyspy Mentaweis weszły w program mojej ekspedycji. Decyzję powziąłem w przeciągu kilku minut, osiągnięcie zaś celu miało trwać wiele miesięcy.

— — — — — — — — — — — —

Właśnie kończyliśmy nasz lunch, nie pamiętam już który z rzędu od czasu wypłynięcia na morze, gdy ujrzeliśmy na horyzoncie wyspę Sipora, największą ze wzmiankowanej grupy. Leżała wśród gęstej mgły, zarośnięta krzakami i dżunglą... Po zbadaniu głębokości morza

Dokończenie na str. 10-tej

Na lewo:
TRZEBA SPRÓBOWAĆ SZCZĘŚCIA!
Ngenakan, egzotyczna piękność, chce zostać gwiazdą. „Ubrana" odświętnie udaje się w towarzystwie swojego męża do kierownictwa ekspedycji filmowej.

Poniżej:
URODZENI ARTYŚCI
Jakkolwiek to zajęcie wykonują krajowcy nie po raz pierwszy i na rozkaz reżysera, ich miny, gra, maska nie mają w sobie nic sztuczności. Oni za każdym razem przeżywają na nowo.

Poniżej w kole:
W DRODZE DO „ATELIER"
Do zdjęć przybywa Ngenakan własnym pojazdem. Nie jest to coprawda Mercedes ani Ford, ale jak na miejscowe stosunki wcale wystarczający środek lokomocji.





Fot. Witzleben i Peters



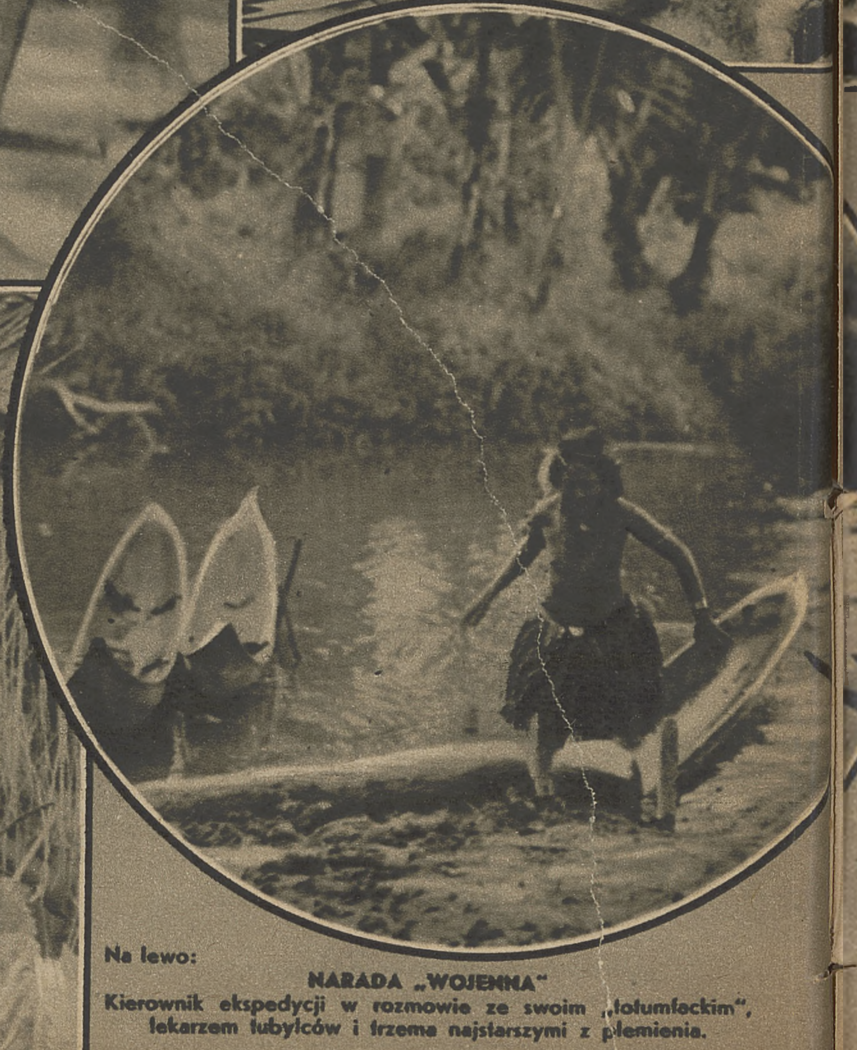
W kole na lewo.
GWIAZDA W „KWIECIARNI"
Obfitość kwiatów pozwala na częste zmienianie ozdoby włosów bez uszczerbku dla kieszeni.

Powyżej:
TUBYLEC — REŻYSEREM NA MIARĘ EUROPEJSKĄ
Czego nas uczy wieloletnia nieraz praktyka w jakimś zawodzie, tubylec wyczuwa instynktownie.

Poniżej:
„ARTYŚCI" PRZYGOTOWUJĄ SIĘ DO ZDJĘĆ
Tu również mamy dowód wrodzonych zdolności tubylców. Naturalny sposób bycia i uległość rozkazom stwarzają z nich doskonały materiał aktorski.







Na lewo:
NARADA „WOJENNA"
Kierownik ekspedycji w rozmowie ze swoim „tołumfackim", lekarzem tubylców i trzema najstarszymi z plemienia.

FLANDRYJSCY WYTWÓRCY DREWNIAKÓW

Na prawo:
Z pni wiązowych, schnących koło chat w ciepłych promieniach słońca, jak to widzimy na rycinie, powstaną w przyszłości setki drewniaków. „Trzewiczki" drewniane są noszone chętnie przez wieśniaków w Belgii, Holandii i Francji, przy pracach na roli.



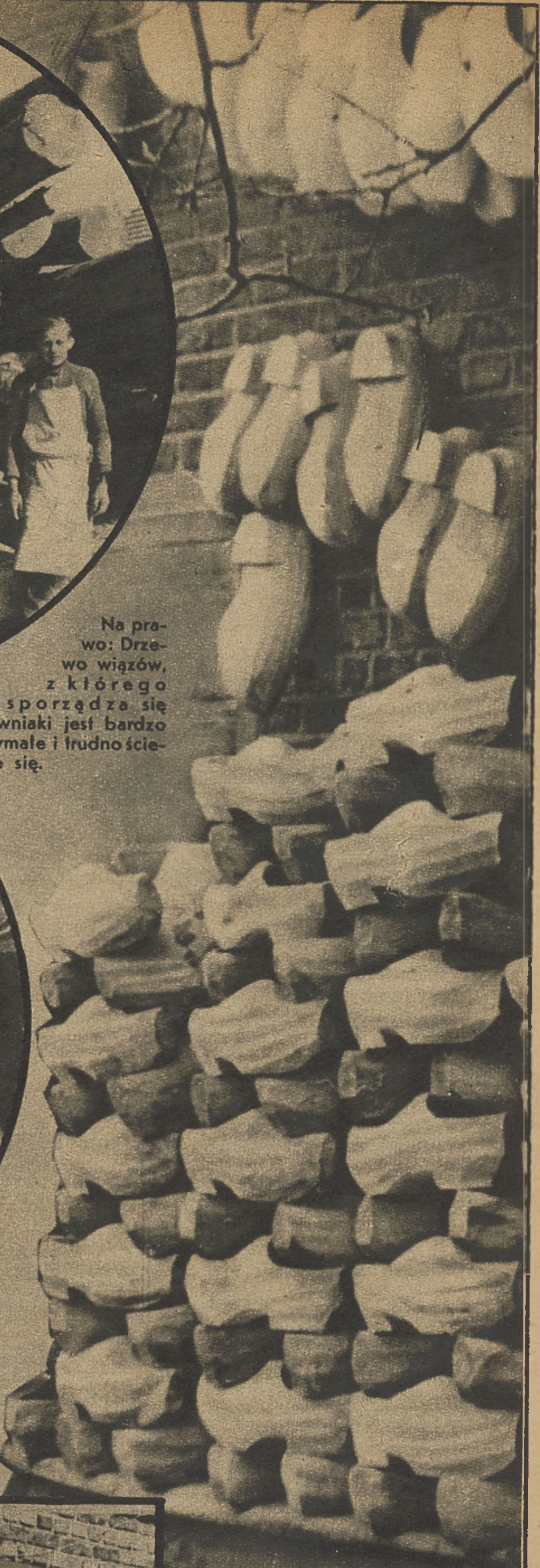


Na prawo: Drzewo wiązów, z którego sporządza się drewniaki jest bardzo wytrzymałe i trudno ścierające się.



Powyżej:
Pocięte na mniejsze kawałki pnie wiązów, ociosuje się przy pomocy siekiery, aby w końcu nóż nadał kształt i ostateczne wykończenie drewnianym pantofelkom.





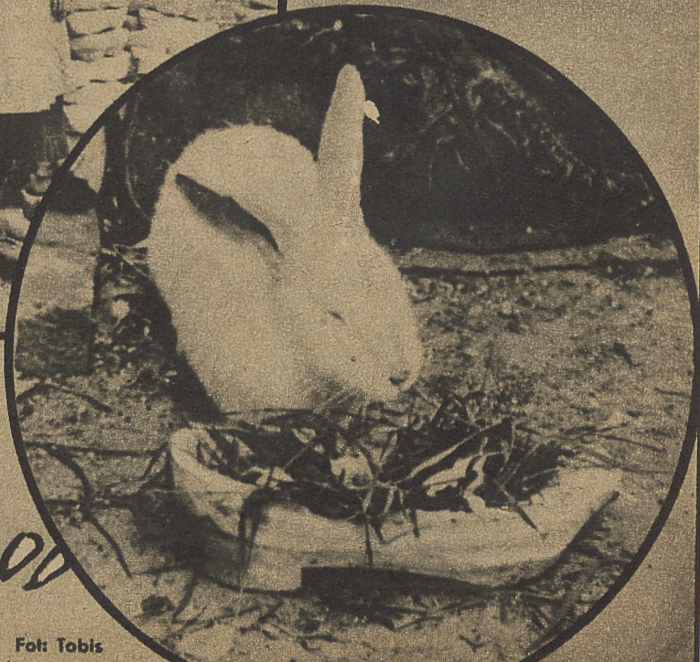
Na lewo:
Ułożone w wysokie stosy, schną drewniaki ociosane z grubsza, pod ścianami chat, zanim całkowicie zostaną wykończone.

Powyżej:
Są dwa rodzaje drewniaków: proste, przeznaczone do codziennej pracy i drewniaki odświętne, luksusowe. Te ostatnie polituruje się, lakieruje lub maluje w barwne wzory. Luksusowe drewniaki nosi się przeważnie w mieście. W tym sklepie każdy znajdzie towar odpowiadający jego gustom.



Stare drewniaki często używane bywają jako korytko dla królików, jak to widać na rycinie; trawa podana na takim „półmisku" bardzo zwierzątku smakuje.

Powyżej:
Ojciec, matka, stryj, ciotka i dzieci — wszyscy noszą drewniaki domowego wyrobu. Już od stuleci kwitnie we Flandrii wyrób drewniaków, bo chodzeniu w drewnianych „trzewiczkach" sprzyja szczególnie wilgotny klimat tego kraju.



„Pod pantoflem"

Fot: Tobis

Emilia nakarmiła syna i ostrożnie położyła do kołyski. Potem okryła senne ciałko chustą i jęła poruszać nogą prymitywną drewnianą kołyskę, na biegunach. Małemu Jurkowi widocznie było tego za mało, bo mruczał i stękał; i dopiero na rzewną melodię matczynej kołysanki, nuconej półgłosem, zaciśnięte i podniesione małe piąstki dziecka, zwolna opadły.

I pewnie już daleko, — w nieznanych światach dziecięcej fantazji, błądziła senna myśl, zrodzona w główce małego Jurka, gdy matka jeszcze nuciła:

Śpij dziecinko, śpij;
Małe oczka zmruż,
W świecie bajek śnij:
Aż do białych zórz!

Dzwoniąca i senna cisza, powoli znad kołyski, coraz dalej i dalej napełniała izbę, opanowując, zwolna i stopniowo, znużoną postać Emilii. Na odgłos krzyków za ścianą ocknęła się z sennej zadumy.

Podeszła do okna i długo wpatrywała się w zamarzłe szyby. Słoneczne promienie, zapalając szafirowymi iskierkami zaklęty świat śnieżnych kryształków malowały na szybach bajkowe wzory, przecudnej ornamentacji.

Drugi dzień śnieg padał, — bezustanku.

Nagle Emilię zapiekło w piersiach i mocno ukłuło pod łopatką. Znowu pozostało w niej pokarmowe mleko. Bo chociaż synek pił wiele, jednak wszystkiego wyssać nie mógł.

Emilia postanowiła dzisiaj napisać list do starego ojca, bo nie może zapomnieć tego momentu, przed odjazdem, kiedy to ze łzami w oczach prosił, by często pisała. Jakoś trudno jej było zabrać się do tego. Chodziła więc po izbie i nerwowo szarpała końce dużej, zarzuconej na plecy, chusty.

Nagle drgnęła. Za drewnianą ścianą baraku, z trzaskiem upadła na podłogę drabina. Zabrzęczało wiadro. Lokatorki-sąsiadki, nieomal wszystkie otrzymały urlop i wyjechały na święta, w rodzinne strony, a w ich baraku robiono remont.

Chlusnęła woda, miękko zaszeleściła, po ścianie, mokra szczotka i w jej takt podśpiewywał młody głos:

Dajcie mi w ręce gitarę!
Nalejcie czerwieni wina —
Pełną po brzegi czarę;

A potem już głośniej i weselej:

Przy mnie jest miła dziewczyna
Przy mnie jest jedna jedyna
Dla mnie uczyni ofiarę . . .

— Ot, głuptas — pomyślała gniewnie Emilia i silnie posunęła stołkiem po podłodze, jakby chciała tym przeraźliwym skrzypnięciem przerwać piosenkę.

Szczotka jednak szeleściła nadal, a malarz zaśpiewał nową piosenkę, bardziej skoczną:

Malowane konie —
Malowany wóz —
Malowane dziewczę —
Do hotelu wiózł . .

Emilia usiadła na stołku i pogrążyła się w myślach. Nasunęła się wyraźna chmura wspomnień. Ona widzi jakby w półśnie: siebie idącą z Kazikiem drogą. Trzymają się za ręce. Dopiero co dali na zapowiedzi i wracają od księdza. Kazik coś mówi, jednak ona nie rozumie słów. Ogrom szczęścia przywalił jej całą istotę. Do jej świadomości dochodzą zaledwie urywki tych miłych słów, które jeszcze bardziej potęgują bezmiar szczęścia czyniąc je nieprawdopodobnym. Ona bierze jego silną rękę i tuli mocno do piersi. Słowa nie może wymówić lecz on wszystko rozumie; bo zna jej duszę na wylot.

Od tych wspomnień zrobiło się cieplej na sercu.

Emilia spojrzała w koło po izbie. Po cóż ona tu żyje? Cuda! Nikomu niepotrzebna. A szczęście minęło — daleko. Drgnęła na samą myśl o tym. Boi się nawet myśleć.

Rozpłakała się tak głośno i tak nagle, że nawet nie zdołała zrozumieć jak się to stało.

Za ścianą ucichł szelest szczotki. Z korytarza doszedł odgłos ostrożnych kroków. Emilia nie słyszała nic i zdziwiła się zobaczywszy na progu wysoką postać, oblaną białą kredą. Zabawnie rozlały się białe krople po rumianym obliczu malarza. Czapka nasunięta na prawe ucho; spod niej zwisały ciemne włosy i częściowo zakrywały wesołą twarz.

Emilia otarła dłonią oczy i gniewnie zwróciła się do gościa. On milczał. Jego proporcjonalne usta, przywykłe do szczerego uśmiechu, poruszyły się nagle i nie mogły znaleźć odpowiednich słów.

— Przepraszam, czy pani wzywała kogoś?

Miał miły i niski głos.

— Nikt pana nie wzywał! — gniewnie odpowiedziała Emilia. Poprawiła chustkę i odwróciła się, usiłując ukryć rozrzewnienie. Przeszła pod okno i mocno oparła się o stół. Od silnego nacisku, pokarmowe mleko trysło na wszystkie strony. Od razu przestało piec. Z głęboką ulgą odetchnęła.

— Czegóż pan potrzebuje? Mów pan!

Nie odpowiedział nic, tylko z jakimś nieokreślonym żalem patrzył na mleczne krople, rozlane białymi plamami po stole i podłodze.

— Mocno mi żal, że . . — bąknął niewyraźnie.

Emilia podniosła oczy i nieco spokojniej odpowiedziała:

— O co panu właściwie chodzi?

Z zachwytem spojrzał na jej zgrabną i rosłą postać. Na duże warkocze ułożone na głowie.

— Nie wiem jak to wyrazić . . . nie o mnie chodzi . . . Mam na myśli moje biedne dziecko . . . Jeśli pani go zobaczy, niewątpliwie będzie go pani żal . . .

— Cóż pan za głupstwa opowiada?

Malarz skierował się do wyjścia.

— Ciężko żyć biednej dziecinie — powiedział posępnie — głosem zniżonym.

— Czy nie donoszona, czy chora? Matki już od dwóch miesięcy nie ma. Została zabita podczas bombardowania fabryki. W mleczarni, gdzie pobieram mleko nie zawsze mogę otrzymać, a niejednokrotnie nie mam czasu przynieść, a tu widzę, jak mleko po podłodze się rozlewa.

Nagle przerwał rozmowę i wyszedł.

Za chwilę słychać było znowu szelest mokrej szczotki i nieco cichsze:

Matula usnęła,
Na kominku zgasło,
Dziewczę buzi dało;
Aż łóżeczko trzasło . . .

Emilia gniewnie zapukała w ścianę.

— Proszę nie śpiewać takich ordynarnych piosenek. Dziecko spać nie może! Licho by go porwało — dodała ciszej.



JULIANKA

NAPISAŁA HANNA PALIWODZIANKA-MATIOLAŃSKA

W korytarzu dały się znowu słyszeć kroki. Malarz otworzył drzwi.

— Pani coś mówiła do mnie?

— Tak, chciałam się czegoś więcej dowiedzieć o tym dziecku . . .

— Nie wiem, czy pani zechce słuchać!

Emilia uśmiechnęła się.

— Może.

Malarz oparł się o drzwi.

— Po cóż będę opowiadał, kiedy wiem, że pani nie tutejsza, ani tu nie pracuje.

— Zgadł pan.

— Zdaje mi się, że pochodzi pani z kresów wschodnich. Poznałem po śpiewnej mowie. Zresztą sama postać mówi, że wyrosła pani na wolnym powietrzu, w stepach; i jakby z przedniego masła ulepiona.

— Wszyscy wy jednakowi mężczyźni! — odparła ona. — Mamicie pochlebstwami kobiety. Miałam zamiar po kilku

PRZEBACZ!...

— Moje „codzień" uśmiechało się w Twych ustach,
wzrok mój — barwą Twoich oczu wybłękitniał,
życie nasze — przesłonecznie lśniąca łuska —
biegło cicho, jak ścieżyna międzyżytnia.

— Dzisiaj — ból Twój — — — (teraz wiem, że moja wina —
i że lez mi Twoich życie nie wybaczy —)
w twarzy mojej smutne bruzdy porozpinał
i ze wszystkich ludzkich oczu na mnie patrzy...

I krzyżuje mnie co chwilę Twoja młodość,
wpół przecięta łzy ciężarem niewymiernym — — — —

A tak chciałem moje „codzień" olśnić Tobą
i na dom nasz Twój błękitny śmiech rozperlić...

— Przebacz mi! I dotknij bruzd na mojej twarzy — — — —
dłońmi Twymi niech me usta znów zakwitną!
— Pójdź — wrócimy w uśmiechnięte nasze „razem"!

— — — — — — — —

— Czy pamiętasz naszą ścieżkę międzyżytnią?

Bronisław Król

dniach powrócić do domu. Ale zostanę. Będę pracować tutaj.

— I kto wie, czy nie lepiej będzie, jeśli pani zatrzyma się tutaj. Jest wojna, każdy pracować musi, a niewiadomo, gdzie lepiej i bezpieczniej. — W słowach Józka dźwięczał życzliwy ton.

— Nie miałam zamiaru tu zostawać i pracować . . . Inny był cel mej podróży.

— Do męża pewnie pani przyjechała?

— Tak. Do męża.

— A czemuż płacze pani? Czy mąż niedobry?

W tonie słów malarza nie była zwykła ciekawość, lecz dźwięczała w nim serdeczna i przyjacielska życzliwość.

— Nie był on jeszcze moim mężem . . . — mimo woli powiedziała Emilia. Inną miał, a mnie okłamywał stale. Poznałam to szybko, gdy wyjechał tutaj na roboty. Mało pisał. Nie chciał bym z nim razem jechała. Wiedziałam, że mieszka z inną. Znajomi pisali mi o tym. W lecie przyjeżdżał do mnie na urlop. Przysięgał; że mnie kocha i nigdy kochać nie przestanie. Wierzyłam. Ale gdy syn się urodził, a on pisał, że zostanie przeniesiony na inne miejsce i prawdopodobnie do mnie już nigdy nie powróci; postanowiłam wyjechać do niego. Kilkakrotnie zamierzałam to uczynić, lecz on stale odradzał, tłumacząc mój zły stan zdrowia.

Malarz słuchał ze spuszczoną głową.

— I po cóż było tutaj jechać?

Emilia pomyślała chwilę i potem ciszej opowiadała dalej:

— Widzi pan, to już tak jakoś jest . . . Wierzyłam, sądząc, że naprawdę on nie ma możliwości przyjazdu do mnie. Nie wiedziałam, że w listach było więcej kłamstwa niż prawdy. Emilia rozpłakała się rzewnie.

— Proszę sobie pomyśleć! Przyjeżdżam i zastaję go z inną. Pytam cóż to za jedna? Odpowiada: — to jest moja żona. Ślub wzięliśmy tutaj przed miesiącem. I dziś wyjeżdżamy oboje, przeniesieni na inne miejsce pracy. Pytam: — po cóżeś mnie okłamywał!? Czemuś mi prędzej o tym nie napisał!?

— Nie chciałem cię trwożyć, byłaś w odmiennym stanie, a teraz skoro dziecko przyszło na świat, więc mogę ci wszystko wyjaśnić.

Malarz uśmiechnął się i z szyderstwem wycedził przez zęby:

— Widocznie bardzo współczująca osoba . . .

Emilii zrobiło się jakoś lżej na sercu; mimo że całkiem obcemu opowiedziała o wszystkim. I wpatrując się w oblicze Józka, w którym wyraźnie rysowało się zakłopotanie, współczucie i troska, powiedziała z sercem:

— Cóż pan za jeden, żeś taki ciekawy?

— Łudząco jestem do mej matki podobny — odpowiedział z uśmiechem malarz. — Ale koło mnie jest jeszcze inna sprawa. Troska o dziecko, o moją małą sierotkę . . . Chciałbym panią do siebie poprosić. Tej dziecinie pomoc trzeba, i to zaraz, koniecznie, gdyż więdnie bez matki, z każdym dniem coraz bardziej. Dziecko chude, piszczy tylko jak komar, bo nawet krzyczeć nie może. Serce moje z żalu pęka . . .

— Daleko pan mieszka? Chciałabym je zobaczyć.

Ukradkiem spojrzał malarz w kołyskę, gdzie spał synek Emilii, Jurek.

Na jego ustach malował się miły i beztroski uśmiech. Uśmiech dziecka.

— Tu samo zdrowie. Ten jak krzyknie, to aż mi z rąk szczotka wylatuje . . .

Zwrócił się do Emilii:

— Więc pani przyjdzie popatrzeć na moje dziecko?

— Tak, chcę zobaczyć.

— Pięknie, więc pójdziemy . . . ale kiedy?

— Niech pan skończy robotę, ja tymczasem przygotuję się.

— Doskonale. Musimy się jednak nieco spieszyć, gdyż jeszcze mam wieczorny kurs . . .

— Jaki kurs?

— Otrzymałem zezwolenie od mego szefa i uczęszczam na kurs szoferski. Postanowiłem, po powrocie do domu, zostać szoferem i chcę po wojnie pracować w mieście. Wieś mi już obrzydła.

Emilia żwawo wzięła się do sprzątania izby i w kilka minut była gotowa do wyjścia. Malarz tymczasem dokończył bielenia korytarza.

Od chwili przyjazdu Emilia mieszkała w baraku swej koleżanki, która teraz pracowała w szpitalu wojskowym.

Malarz wstąpił po Emilię.

Jurek tymczasem się obudził i Emilia wzięła go ze sobą.

— — — — — — — —

Małe łóżeczko stało koło okna. Obok na kanapce, siedząc drzemała stara babusia. Zobaczywszy Józka skinęła głową, zaś na Emilię spojrzała podejrzliwie.

— No, jak się czuje Julianka? — spytał Józek i zerknął w kołyskę; skąd dało się słyszeć cieniutkie i bardzo żałosne kwilenie. Babunia milcząc zdjęła z dziecka pieluchy.

Emilia zobaczyła niebieskawe, wychudłe rączęta, pożałowania godny tyłek i maleńkie jak guzik usteczka, co ledwie się poruszały.

Całe matczyne jestestwo Emilii, rwało się do tych schorzałych i osłabionych ocząt, zgłodniałych i wypatrujących prawdziwych matczynych piersi. Nakarmić mizerną i osieroconą ptaszynę, mleczkiem napoić . . .

— Karmię z flaszki — wyjaśniła babunia — z mleczarni otrzymuję mleko i przegotowuję na owsianym odwarze. Byłam nawet z Julianką u lekarza, ale on powiedział, że koniecznie trzeba ją przenieść na matczyne mleko, gdyż w przeciwnym razie może nastąpić niedorozwój, a nawet śmierć. Ale gdzież tu wziąć matczynego mleka?

Emilia nie wiedziała, co czynić.

— A może ta dziewczynka chora? — pomyślała. — A może to karmienie odbije się na zdrowiu Jurka?

Malarz przyszedł jej z pomocą.

— Widzę, że obydwie źle jakoś podchodzicie do siebie; za mało się jeszcze znacie. Ale sądzę, że możemy pójść do naszego lekarza — powiedział Józek z całą serdecznością.

— Pójdziemy nawet zaraz! Nie gniewajcie się. Jutro Julianka będzie miała dużo mleka — dodała Emilia i — pozdrowiwszy ukłonem babunię — wyszła.

— — — — — — — —

Weszli do dużego budynku szpitala dziecięcego. Malarz podprowadził Emilię do drzwi poczekalni i podając rękę na pożegnanie dodał:

— Pani tutaj poczeka na lekarza, ja zaś spieszę na kurs.

Emilia usiadła w poczekalni. Za chwilę weszła babunia z Julianką.

Emilię znowu ukłuło pod łopatką, mdliło i piekło w nabrzmiałych piersiach.

Z pokoju do poczekalni weszła siostra szpitalna i poprosiła Emilię do gabinetu lekarza. Po chwili weszła babusia z Julianką. Wszystkie analizy i przeglądy stwierdziły, że Julianka jest zdrowa, tylko brak matczynego mleka spowodował niedorozwój organizmu. Co się tyczy badań Emilii, to w całości zostały potwierdzone przypuszczenia malarza; Emilia była przykładnym wzorem zdrowej kobiety-matki.

— Cieszymy się, ilekroć widzimy serdeczną pomoc wśród robotników dotkniętych bombardowaniem — powiedziała siostra. — Tego rodzaju sprawy są bardzo ważne dzisiaj, kiedy tyle jest niemowląt osieroconych.

— Jakby to było dobrze — pomyślała Emilia — gdyby tak zaraz po wojnie zaprowadzić u nas dokarmianie osieroconych niemowląt. Ileż to razy w pokojowych czasach; u jednej było mleka za dużo, u drugiej za mało, a nawet przez myśl nikomu nie przeszło, dzielić się mlekiem. Ileż to dobrodziejstw uczyniłoby się w ten sposób! Nie byłoby tylu niedorozwiniętych dzieci.

— — — — — — — —

Mijały dni — jeden za drugim. Przy nauczaniu, wychowaniu oraz czuwaniu nad synem, schodził Emilii szybko czas, nie zostawiając nawet chwilki na smutek. Codziennie karmiła swą piersią Jurka i Juliankę. Jeśli sama miała więcej czasu, wtedy biegła do baraku malarza, niekiedy babusia przynosiła Juliankę do niej.

Aż pewnego dnia przybiegł Józek. Opowiedział o nadzwyczajnej poprawie zdrowia u Julianki, coś nie coś o sobie; o kursach i mimo woli serdecznie zapytał:

— Jak u pani z pieniądzmi? Mogę pani finansowo pomóc a nawet poszukać tutaj odpowiedniego zajęcia dla pani.

Emilia uśmiechnęła się:

— Najserdeczniej dziękuję za dobre słowa. Mam jeszcze nieco gotówki, którą przywiozłam ze sobą. Zresztą, nie na roboty ja tu przyjechałam...

— — — — — — — — — —

Mijały dnie, tygodnie, miesiące... Zbliżała się wiosna. Tęsknota i smutek, ogarniały wieczorem dobre matczyne serce Emilii, kiedy wszyscy w baraku posnęli ciężkim snem, a ona sama siedziała pochylona nad śpiącym synem. Ona myślała o powrocie do rodzinnego domu, do starego ojca. Rozumiała, że trzeba ojcu pomóc w wiosennej pracy na polu. Przecież pozostał sam. I tak wpatrzona w mrok baraku, zagubiona w tęsknych myślach, ujawiła sobie swoją chatkę rodzinną koło rzeczki, otoczoną owocowym sadem. Opuszczona Emilia płakała cicho, a kropliste łzy, strugą spływały po twarzy, zostawiając słony posmak na ustach...

Otarła łzy, a tak bardzo trudno było jej oderwać myśli od rodzinnej chatki.

— Pusta i zmurszała, pochylona ze starości, powita załzawionymi szybkami mnie — swoją gospodynię. W tej chatce przyjdzie mi pędzić smutne życie, wychowywać jedynego Jurka i zmagać się z biedą.

Emilia z dnia na dzień odkładała odjazd. Ciężko było wracać do ojca, z bolesną wieścią, że narzeczony jej już żonaty. Wiedziała, że dla starego ojca będzie to śmiertelnym ciosem, że jego jedynej córce los okazał się tak przeogromnie okrutnym.

Emilia szczególnie czuła się osamotnioną, od kiedy przestała karmić Juliankę. Józek również tylko niekiedy przychodził. Odkładała odjazd, bojąc się rozstać z szumem fabryk, który rozganiał jej smutne myśli.

Aż pewnego dnia pomyślała, że może lepiej by było, gdyby wracając do domu, zastała ojca w grobie. Może by tym samym oszczędziła mu przed zgonem tej bolesnej i gorzkiej wieści. Ale kiedy pomyślała rozważnie o tym, przelękniona tą myślą, modliła się szczerze i gorąco do Boga, prosząc o przebaczenie.

Józka od kilku dni nie było w baraku, ani też nigdzie go nie widziała. Aż pewnego dnia przyszedł nagle, w momencie, w którym najmniej się go spodziewała.

— No, jak, żyjesz? — zapytał wesoło. Ale w beztroskim uśmiechu Józka coś bolesnego uderzyło Emilię.

— Jadę do domu! — odpowiedziała krótko.

— Kiedy?

Nagle postawione pytanie zmusiło ją do krótkiego namysłu.

— Jutro idę po bilet kolejowy!

— Słyszałem i wiem dokładnie, że otrzymałaś już wszystkie papiery na wyjazd, że nieodwołalnie jedziesz. Przy tej okazji mam do ciebie jedną małą prośbę. Jeśli będziesz brała bilet, weź jeszcze jeden.

I zetknąwszy się z jej zdziwionym wzrokiem, dodał wyjaśniając:

— Jeszcze jedna dziewczyna, z twoich stron pojedzie z tobą. Będziesz miała towarzyszkę i w podróży będzie wam weselej.

— Cóż to za jedna?

— Jedna wiejska dziewczyna, moja znajoma, zwolniona z pracy. Zresztą bardzo miła dziewczynka. — Józek uśmiechnął się. Emilii nagle zrobiło się przykro na myśl rozstania z nim. Przyzwyczaiła się do niego i czuła niezaprzeczony sentyment. Ale ona ukryła ból i odpowiedziała spokojnie:

— Cóż, wezmę! Będzie weselej jechać.

Józek wstał. Jakoś dziwnie spojrzał na stroskaną Emilię i jakby zamierzał coś bardzo ważnego powiedzieć. Ale wyprostował się, podniósł głowę do góry, spojrzał Emilii w oczy, potem chwycił czapkę, ukłonił się i milcząc wyszedł z baraku.

— Nie pożegnał się nawet — pomyślała Emilia — grubianin!

Raz jeszcze zobaczyła Józka kiedy oddawała mu bilet. Z bólem pomyślała o tym, że więcej już nie zobaczy Julianki. Dziewczynka ta stała się dla niej bardzo bliską i drogą.

Przed tygodniem spotkała Emilia babusię z Julianką, a zobaczywszy jej odżywioną i pełną rumieńców twarzyczkę i rozjaśnione oczy, odczuła jakąś nieokreśloną dumę i zadowolenie. W tym cudownym odrodzeniu dziecka była i jej cząstka.

— — — — — — — — — —

W dzień odjazdu, Emilia daremnie oczekiwała towarzyszki podróży. Nikt nie przyszedł. W poczekalni zauważyła Józka, jak bardzo zakłopotany kupował bułki i cukierki w bufecie. Z koszyka, który wisiał na jego ręce, wystawała flaszka z mlekiem.

— Zaraz, zaraz — skinął na Emilię — wszystko opowiem...

— Gdzież ona?

— Zaraz przyjdzie.

Józek pomógł Emilii wejść do wagonu i znalazłszy dla niej miejsce w przedziale, wyszedł. Po chwili zjawił się ponownie, niosąc na rękach spowite dziecko. Wszedł do wagonu i usiadł naprzeciw. Był bardzo zmieszany i blady. Milcząc zdjął zasłonę z twarzyczki dziecka.

— Julianka! — krzyknęła zdziwiona Emilia.

— Oto jest ta wiejska dziewczynka, która pojedzie w twoje strony!

— Cóż to znaczy, niczego nie rozumiem!?

— Otóż — jąkając się rozpoczął Józek — sam nawet nie wiem, skąd takie myśli przyszły mi do głowy. Kiedy dowiedziałem się, że starasz się o wyjazd do domu, zrozumiałem, że w tobie odjedzie matka mej Julianki. Udałem się z tą sprawą do mego pracodawcy, prosząc by i mnie zwolnił, gdyż już trzeci rok u niego uczciwie pracuję. Dodałem, że wraz z tobą odjeżdża połowa mego serca. Pokochałem twoje dobre matczyne serce. On zrozumiał moje łzy, które po raz pierwszy od wielu lat zjawiły się w oczach. Zrozumiał moją tęsknotę za rodzinnymi stronami. Zgodził się. Postarał się nawet o wszystkie papiery na wyjazd. I dziś jadę wraz z tobą. Do ciebie. Do twego domu.

Spuścił oczy. A Emilia chciała nagle krzyknąć, tak dużo wpłynęło radości do jej stroskanego serca, które teraz biło silnymi uderzeniami.

— — — — — — — — — —

Ulubiona, zaciszna chatka, nad brzegiem rzeczułki, radośnie błyszczała wymytymi szybkami, na powitanie czworga nowych gości.

— — — — — — — — — —

W słoneczny czerwcowy dzień, w ukwieconym zielenią i bielą brzóz, wiejskim kościółku, staruszek ksiądz wiązał stułą, spracowane ręce Emilii i Józka.

Wśród licznych świadków tej skromnej lecz bezbrzeżnie szczęśliwej uroczystości, błyszczało dwie pary rozradowanych ocząt dziecięcych: Jurka i J u l i a n k i.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



BURY

JANIK ZDZISŁAW

Z wystawionym pyskiem na zewnątrz psiej budy, leżał wielki i kudłaty uważnie spode łba spoglądając ponurymi oczyma na wszystko, co się działo na podwórzu. Taki sobie był — kundel, przezwany pogardliwie Burym.

Oczy miał bure i kudły tego samego koloru, a zawsze brudne, pełne plew i miejscami skołtunione. Ceniono jednak w nim złość nieobliczalną, bowiem wybuchał łatwo na widok nieznanego człowieka. Dla tych, których znał — był obojętny. Ogólnie mówiono, że jest brzydalem i nie obdarzano go sympatią. Instynktem odczuwał brak życzliwości. Czy bolał nad tym? Niewiadomo. Czuł po psiemu: nienawidził, warczał, gryzł i nie patrzył nigdy wprost na człowieka, a biegł chyłkiem, jakby nie chciał, żeby go widziano. Kucharkę, która mu jeść przynosiła do budy — zaledwie tolerował z niewymowną pogardą przyjmując od n...j pożywienie. Nie od razu też zabierał się do niego, jak to czynił brat Cygan i zarazem sąsiad najbliższy, lecz wprzód powąchał i oddalał się zaraz, po chwili dopiero ociągając się zbliżał się do miski i zagłębiał swój długi, czarny pysk w ciepłej zupie.

— Patrzcie, no — wydziwiała kucharka — jaki to ma pański arakter do jedzynia!

Cygan był zły i głupi, ale Bury choć również zły o całe niebo mądrzejszy był od brata. Czujny i mądry, w charakterze swym przejawiał wyraźnie logikę i celowość czynu.

Taki już był zrównoważony od małego. Kiedy Cygan rzucał się wiecznie w paroksyźmie wściekłości bezsensownej przy budzie, na widok lada kury lub gęsi, Bury z doskonałą obojętnością obserwował życie podwórza, wykorzystując sprytnie każdą nadarzającą się sposobność zdobywania, sobie pożywienia. W lecie młode, głupie kaczki padały zwykle jego ofiarą. Codziennie przed wieczorem ciągły długim korowodem od sadzawki na podwórze, niewiadomo czego tuż koło budy Burego. Zawsze ostatnia była jego łupem, który ukradkiem pożerał w budzie. Tymczasem Cygan swą hałaśliwością budził podejrzenia, ponosząc karę za niepopełnioną winę.

Życie Burego płynęłoby nadal swym wąskim korytem, gdyby na padół jego nędznego życia, nie zeszło bóstwo. Stało się to tak niespodziewanie, że nim się Bury spostrzegł, już był we władzy, którą uznał nad sobą bez sprzeciwu.

Kiedy w porze zimowej, o pewnym czasie przed psią budą pojawiło się bóstwo, całe jasne, wydzielające z siebie fluidy dziwnego ciepła — miłe psiemu sercu, Buremu głos zamarł w krtani i siedział jak urzeczony. Nie ruszając się z miejsca, patrzył po raz pierwszy wprost na człowieka.

— O, wcale nie taki brzydki ... — zadźwięczał mile głos bóstwa — tylko taki bardzo biedny ...

Nikt nie ogrzał samotnego psiego serca uczuciem przyjaźni ...

— O, wolę ciebie od tych rozpieszczonych, przerasowanych pokojowców. Powiadam ci, przyjacielu, co to za niedołęgi! Dławią się po prostu swą histerią, a żaden nie potrafi mi towarzyszyć na spacerze. Przypadłeś mi od razu do serca, boś opuszczony, a zdziczałe twe serce na pewno pragnie życzliwości. Będziesz mi teraz towarzyszem.

Ręka w wełnianej rękawiczce ruchem śmiałym i energicznym odpięła pasek z łańcucha i ... Bury był wolny.

Stał teraz nieśmiało, jakby, nie wiedząc co ma z sobą zrobić.

— Bury, przyjacielu, pójdziemy ... — powiedziało bóstwo, i z nartami na ramieniu ruszyło naprzód.

Bury stał chwilę i patrzył w ślad ... Wreszcie powoli ze spuszczonym ogonem poszedł, trzymając się trochę z dala. Dopiero za ogrodem zrównali się, a nawet Bury pobiegł nieco naprzód; węsząc tu i tam z podniesioną już wysoko kitą ogona.

— Wcale, wcale jesteś przystojny — mówiło bóstwo — co za pierś wypukła i mocna, jaki wspaniały ogon, kto by pomyślał! Co za przemiana, powiedziałabym, że nie pozbawiony jesteś rasy.

Na dźwięk tego głosu, Bury machał teraz ogonem, lecz trzymał się jeszcze z dala. Po trosze nieufność ustępowała radosnemu poczuciu, że jest wybranym. W zatwardziałym sercu czaiła się niedaleka już wdzięczność ...

Kiedy Danusia, cała jasna w blasku słonecznym zsuwała się na nartach po puszystym śniegu z niewielkiego wzgórza, Bury, szczekając, biegł za nią w podskokach. I tak pędzili razem pełni radości i zapomnienia o świecie całym. Zatrzymali się w końcu wśród śnieżnej płaszczyzny syci powietrza i zmęczenia. Bury z wywieszonym językiem rozbawiony kręcił się koło nart, machając prędko ogonem, na znak wielkiego zadowolenia. W jego iskrzących się radością oczach widać było chęć powtórzenia zabawy, lecz Danusia blada, oparłszy się o kije, oddychała z trudem.

Odtąd stale w dni pogodne chodzili na wzgórze pod lasem i tam wśród wesołych okrzyków i szczekania spędzali czas przyjemnie.

Kiedyś, o zmierzchu pełnym ciszy w powietrzu i różowych odblasków na niebie, wracali ze spaceru. Bury stąpał przy nodze Danusi poważnie, godnie, z podniesioną wysoko kitą ogona, od czasu do czasu dotykając lekko nosem granatowych spodenek dziewczynki. Ku radości jego serca bóstwo często na spacerach przemawiało do niego swym słabym, lecz czystym jak kryształ głosikiem. Był więc powiernikiem, towarzyszem i przyjacielem.

— Widzę przyjacielu — mówiła Danusia — że spacery ci służą, odżyłeś i wypiękniałeś. Ale mnie — nic już nie pomoże ... W Zakopanem powiedzieli, że mam chore płuca, więc jeszcze kilka miesięcy, rok i skończy się wszystko dla mnie ... Pozwolono mi jeżdzić na nartach, bo wtedy się głębiej oddycha, a to jest podobno ważne dla płuc ... Widzisz bury piesku, przyznam ci się, że ja nadużywam trochę tej jazdy, ale ja i tak długo żyć nie będę, więc nim nadejdzie czarna noc śmierci — użyję trochę ... A mnie wtedy zdaje się, że jestem zdrowa, pełna sił ...

Bury strzygł uszami i spoglądał w górę ku białej czapce. Ten jedyny głos na ziemi ukoił jego obolałe serce i stłumił złość, potęgując z każdą chwilą radość życia nieznaną mu dotąd.

Wreszcie Bury wymyty i wyczesany, wpuszczany został na pokoje. Służba wzruszała ramionami, domownicy krzywili się, gdy po raz pierwszy pojawił się wielki i niezgrabny na lśniących posadzkach. Cała sfora pokojowców, nerwowy doberman, rozdygotane ratlerki i złośliwe jamniki na jego widok uczyniły taki wrzask, że długo musiano uspokajać rozigrane nerwy ulubieńców. Bury ledwo spojrzał na nich. Był nieodstępnym cieniem bóstwa i poza nim nie miał żadnych zainteresowań. Jego psie ubogie w uczucia serce zbudziło się i zakwitło jak kwiat miłością bez granic i silną jak sama śmierć. Najczęściej przebywał w pokoju Danusi, gdzie leżał zwinięty na dywanie, pogrążony w dziwnym błogostanie, który na pewno, gdyby umiał mówić, nazwałby — szczęściem.

— Nudzimy się oboje — mówiło bóstwo pewnego dnia siadając na dywanie przy Burym i zagłębiając rękę w puszystych kudłach — wiosna już, nie ma śniegu, nie ma naszej cudownej jazdy Bury, co my właściwie będziemy teraz robić? Wiesz piesku, taka jestem bardzo samotna. Mama opuściła ojca i wyszła zamąż, a ojciec też się ożenił z inną ... A ja, ni tu ni tam, wszędzie jak intruz. Dobrze więc, że jesteś ty ... Wiesz przyjacielu, powiem ci na ucho, ale tak cichutko, że ja mam teraz stale gorączkę, ale nikt o tym nie wie. — Bury mój drogi, ja się tak boję śmierci, bo wtedy pewno ogarnia człowieka taka czarna beznadziejna noc ... — Bury patrzył w biedne podkrążone oczy i lizał ciepłym językiem drżące z chłodu ręce.

— Bury, wiesz, ja mam tylko szesnaście lat ... To jest za mało, żeby umierać, a za dużo, żeby móc wiedzieć o nędzy życia. Nie było kochania, bo do tego szczęścia mają prawo tylko zdrowi, choć nie zawsze je doceniają. O, Bury! nie było w moim życiu nic godnego uwagi — przejdę cicho jak marny cień bez śladu w czyimkolwiek sercu.

Przyszły smutne dni. Od dłuższego czasu Danusia nie podnosiła się z łóżka. Bury siedział przy łóżku i najczęściej trzymając łeb na kołdrze, trwał tak całymi godzinami, jakby w jakimś półśnie dziwnym, niespokojnym. Nie zwracał uwagi na ludzi, który przychodzili do pokoju, dużo mówili i odchodzili.

Kiedyś w porze przedwieczornej, gdy z otwartych okien szły lekkie podmuchy pachnące świeżą ziemią, pełne cichego rozgwaru kończącego się dnia, odezwał się słaby, przerywany głos bóstwa:

— Jesteś tam?

Bury drgnął i wtulił swój śpiczasty czarny pysk w małą dłoń.

— A jesteś ... dobrze, wiesz przyjacielu ... taka jestem zmęczona ... ten młody ksiądz przy spowiedzi powiedział mi, że Bóg jest ... i to musi być prawda, bo czemże byłby ten świat ... tak mi to weszło w duszę ... Bury, chciałabym wiedzieć, czy twoja dusza też czuje Boga. Ach, jak mi trudno mówić .. niewymownie cierpię ... ale to nic, byle śmierć nie była ciemną nocą, byle umrzeć z nadzieją ...

Tej nocy wygnano Burego na podwórze. Nieswój jakiś i smutny poszedł na swe dawne miejsce koło budy. Naraz z podniesionego do góry pyska wybiegły dźwięki żałosne, które pospolicie ludzie nazywają wyciem, lecz była to raczej pieśń pełna skargi i bólu życia.

— A bodajeś zdechł przeklętniku jakiś! — zaklął stróż nocny i kijem mocno go zdzielił. Bury stęknął i wlazł zaraz do budy zakopując się w słomę.

Nazajutrz, Bury zastał drzwi do pokoju Danusi zamknięte. Drapał drzwi, skomlał, aż wygnano go znów na podwórze. Przez cały dzień potem biegał koło domu zdziwiony, niespokojny, aż wreszcie począł się wspinać do okien, obwąchiwać — na nic wszystko.

Z niewiadomej przyczyny zamknięto mu dostęp do bóstwa. Pies szalał z niepokoju, aż wreszcie wyczekał odpowiednią chwilę wpadł do kuchni, a stamtąd chyłkiem do pokoju. Teraz już drzwi były otwarte. Zrazu ujrzał białą postać leżącą na łóżku, lecz jakby obcą dla niego. Zwolna posunął się do łóżka i począł je obwąchiwać. Nagle cofnął się do drzwi i przysiadłszy na tylnich łapach cicho i żałośliwie zawył. Przegnano go zaraz z domu. Ale on nie napierał się więcej. Poszedł przed siebie.

Po drodze minął psią budę, skąd odprowadziły go ciekawie żółte oczy Cygana. Nie zwracając na nie uwagi pędem przebiegł podwórze i wypadł na pole.

Przez dwa dni widziano go jak biegał bruzdami polnymi z podwiniętym ogonem i zapadniętymi bokami. Mówiono nawet, że może się wściekł, że może trzeba zrobić obławę i zabić go. Dziw, że nikt go jakoś nie tknął.

Bury chudy, obłocony, z pozlepianymi kudłami, pędził tu i tam nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Czasem znów węszył, szukał, lecz widać nic nie znalazł.

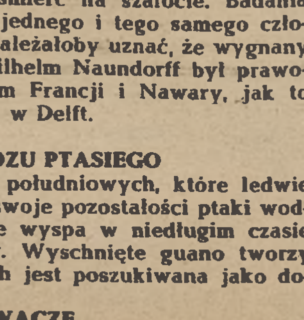
Aż którejś nocy pogodnej i gwiaździstej Bury wrócił na wzgórze pod lasem. Było to widmo raczej, wynędzniałe straszliwie i chwiejące się na nogach. Upadł w końcu na ziemię i z trudem wyciągnął sztywne nogi. Nie ruszył się już więcej. Raz tylko jeden usiłował podnieść łeb nieco w górę i wtedy słabym głosem rzucił gwiazdom skargę rozpaczliwą i zaraz potem zakończył swój żywot nikomu już niepotrzebny.

Nazajutrz, znaleźli go ludzie orzący pole pod lasem na wzgórzu. Tego samego dnia wieczorem stary stróż nocny, który przyzuczał Burego od wczesnej młodości do obowiązków stróżowania, nie żałując kija, teraz po śmierci dał mu świadectwo najwyższego uznania.

— Wiadomo, — mówił w kuchni dworskiej — pies je stworzenie boskie, wierny był, to i nie dziwota, że go zmogło ... Ha, człowiek człowiekowi nierówny, a pies psu ... Cygan zawsze był głupi i głupim ostanie, a Bury to pies czujący.

CIEKAWOSTKI ZE ŚWIATA

KRÓL CZY ZEGARMISTRZ?



Niedawno temu znaleziono klucz do rozwiązania zagadki, która frapowała historyków od przeszło stu lat. Chodzi mianowicie o niejakiego Karola Wilhelma Naundorffa, z zawodu zegarmistrza, który podawał się za Ludwika XVII, króla Francji i który przez całe swoje życie walczył bezskutecznie o uznanie swoich praw. Naundorff zmarł 10. sierpnia 1845 roku w Holandii i został pochowany w Delft.

Obecnie zajął się tą sprawą badacz André Castelot. Zbadał on resztki włosów wydobytych z grobu Naundorffa i porównał je z włosami Ludwika XVII, syna Ludwika XVI i Marii Antoniny, którzy znaleźli śmierć na szafocie. Badania wykazały, że włosy należą do jednego i tego samego człowieka — według tych danych należałoby uznać, że wygnany z Francji zegarmistrz Karol Wilhelm Naundorff był prawowitym Ludwikiem XVII, królem Francji i Nawary, jak to podaje napis na jego grobowcu w Delft.

WYSPY Z NAWOZU PTASIEGO

Na rafach koralowych mórz południowych, które ledwie wystierczają z morza, składają swoje pozostałości ptaki wodne. Jest ich takie mnóstwo, że wyspa w niedługim czasie wyrasta do dużych rozmiarów. Wyschnięte guano tworzy twardą glebę, która na rynkach jest poszukiwana jako doskonały nawóz.

PRZEŻUWACZE

Marynarze żują prymkę albo gumę. Tubylcy z wysp mórz południowych zamiast liści tytoniu lub gumy zaprawionej miętą lub korzeniami używają liści betelu zmieszanych z orzeszkami tejże rośliny i utartej z wapnem. Stwierdzono, że taka „prymka" Polinezyjczyków zawiera substancje odżywcze, jak tłuszcz i cukier, a nadto barwniki i kwasy oraz barwik czerwono-brunatny. Działanie betelu jest odświeżające, podobno gasi pragnienie i zwalcza objawy znużenia, nadto czyści usta, konserwuje zęby i nadaje oddechowi miły zapach. Wielu tych zalet trzeba odmówić prymce i gumie. Wspólną cechą wszystkich trzech używek jest to, że staje się nałogiem, jest w powszechnym użyciu i dzięki temu jest stałym źródłem zarobku wielu fabrykantów.

FABRYKANTKA LALEK



Ta oto wdzięcznie uśmiechnięta panienka jest wytwórczynią pięknych, artystycznych lalek, które w ten oryginalny sposób reklamuje. Uśmiech ściąga płeć brzydką, a wyroby młode mamusie ze swoimi pociechami.

ŚLIWY BEZ PESTEK I KAKTUSY BEZ KOLCÓW

W południowej Francji hodowano do niedawna śliwy o owocach bez pestek. Miały jednak one tę wadę, że owoc był drobny. Pewien ogrodnik amerykański skrzyżował ową śliwę z odmianą japońską o dużych owocach i otrzymał dużą śliwę bez pestek.

W innym wypadku krzyżowanie przyniosło korzyść nie tylko dla smakoszów, ale przysporzyło pożywienia zwierzętom w nieurodzajnych krajach pustynnych. Kaktusy rosnące w suchych, pustynnych okolicach, mogłyby być doskonałą paszą dla zwierząt, gdyby nie pewne ale. Kaktusy mięsiste mają kolce, co powoduje, że nie mogą być jadalne, kaktusom zaś niemającym kolców brak mięsistości, a więc i wartości odżywczych. Sprytni hodowcy przez krzyżowanie połączyli cechę mięsistości kaktusa kolczastego z „bezkolczastością" kaktusa nieużytecznego i stworzyli kaktus jadalny, chętnie spożywany przez zwierzęta.

WITAMINY Z ŻOŁĄDKA ZWIERZĄT

Eskimosi żywią się przeważnie mięsem. Potrzebują dużo mięsa i tłuszczu ze względu na wielkie zużycie paliwa w krainie polarnej. Zioła, korzenie i jagody są tam rzadkością i Eskimos spożywa je na surowo. Dotkliwy brak pokarmów roślinnych każe im nawet zjadać całą zawartość żołądków ubitych reniferów czy pardw, jest to jeden jedyny sposób zdobycia witamin. Wydaje się nam nieapetyczny taki przysmak, ale dla Eskimosa jest niezbędny, zwłaszcza, że zjada go „na gorąco", bezpośrednio po zabiciu zwierzęcia, co jeszcze bardziej podnosi wartość tej dziwnej strawy.

CZY PAŃSKIE SPODNIE MAJĄ KANTY?

Który z krawców ważyłby się takie słowa skierować do swoich klientów? Albo czy miałby na tyle czasu, by stać przed swoim zakładem i zachęcać przechodzących panów do wyprasowania spodni?



Dowcipny krawiec w Sofii znalazł na to sposób. Na środku chodnika postawił staroświeckie żelazko do prasowania i żelazny piecyk z okrągłą rurą, mającą imitować niewyprasowane spodnie. Przechodzień, jeżeli nie jest w ciemię bity, zorientuje się od razu z rekwizytów rozstawionych na chodniku i szyldu krawieckiego, że tu można na poczekaniu odświeżyć swoją garderobę.

Ngenakan — gwiazda filmowa

Dokończenie ze str. 5

kapitan wydał rozkaz spuszczenia kotwicy. I już w kilka chwil później usłyszeliśmy hałaśliwy zgrzyt łańcuchów kotwicznych.

Według zwyczajów panujących na wyspach zwanych S u n d a, na przybycie statku wybiegają z przystani wysp całe chmary łodzi krajowców. Tym razem jednak odgłosowi syreny naszego statku nie towarzyszyła ani jedna sylwetka łodzi. Minęło piętnaście minut wśród oczekiwania. Minęło pół godziny . . . Wyspa nie dała znaku życia. Zacząłem przypuszczać już, że wyspa jest niezamieszkana i kląłem w duchu mojego niefortunnego informatora. Wreszcie sięgnąłem po lornetę i zacząłem dokładnie badać „odkrytą" przez nas ziemię. Ku mojemu zdumieniu zauważyłem w pewnej chwili grupki ludzi, ukrywających się za drzewami. Z ich niespokojnych ruchów wywnioskowałem, że spotkanie z nami nie sprawi im radości.

Dalsze oczekiwanie na ich łodzie byłoby bezprzedmiotowe. Spuściliśmy więc na wodę motorówkę. W łodzi ratunkowej umieściliśmy nasz „ekwipunek" i w towarzystwie dwudziestu kulisów popłynęliśmy ku wyspie. Za naszym zbliżeniem się tubylcy pierzchli w zaroślach i tyleśmy ich tego dnia widzieli. Upłynęło wiele czasu zanim zdołaliśmy ich przekonać, że przybywamy w pokojowych zamiarach. Przekonały ich obfite rozdane podarunki: tytoń, czerwone perkaliki, tanie japońskie noże. Takim skarbom nie oparli się nasi nieufni Siporańczycy.

Najpierw zjawiły się dzieci, jak wszędzie: najciekawsze i najpłochliwsze. Zbliżyły się do nas dzięki pełnej beczce cukierków. Gdy raz spróbowały smakołyku z tej „cudownej" beczki, nie mogliśmy się już opędzić ciekawskim. Niepewnie, z ociąganiem się, z wstydliwym uśmiechem na twarzy, ale ze wzrokiem wlepionym w magiczną beczkę podchodziły do nas. Pierwszy krok był zrobiony.

W ślad za dziećmi zjawiły się wkrótce kobiety, co do ciekawości nie ustępujące dzieciom i swoim europejskim siostrom. Z początku parami, trzymając się za ręce, jak zakochane pary u nas w Europie. Na widok naszych czerwonych perkalików nie wytrzymały. Instynkt Ewy przemógł obawę. Początkowo oglądały je tylko i oględnie dotykały. Gdy otrzymały „towar" do rąk, cała „rezerwa" znikła. Zaczęły go sobie wyrywać wzajemnie, przymierzały, rumieńce wystąpiły im na twarze, a paplały tak jak na pokazie mód.

Mężczyźni przybyli tego samego popołudnia. Poważnie kroczyli z łukami i strzałami w rękach. Niektórzy mieli noże. Te ostatnie jednak należały do rzadkości na wyspie. To też gdy pokazaliśmy im siekiery i noże, rozpętała się wprost burza radości.

Przybył wreszcie sam „król" Rimata w towarzystwie najwyższego kapłana. Wtedy już nie było wątpliwości, że zyskaliśmy sobie w nich przyjaciół.

Nastąpiły dni żmudnej pracy: nauczenia się języka krajowców. Na szczęście było wśród nich kilku mężczyzn, którzy znali kilkanaście słów po malajsku, ale mimo to minął jeszcze jeden miesiąc zanim mogłem pomyśleć o filmowaniu. Najwyższy kapłan, który był zarazem „lekarzem", został mianowany przeze mnie „dyrektorem" doradczym. Przez niego zwracałem się do krajowców i wyjaśniałem im moje zamiary. Chciałem mianowicie nakręcić film z krajowcami o ostatniej walce w ich plemieniu. Mój „dyrektor" był wprost nieoceniony w dawaniu mi rad i pierwszorzędnym znawcą miejscowych stosunków. A jak był przejęty swoją rolą?!

„Aktorów" mężczyzn nie trudno było wyszukać. Ale z kobietami było gorzej. Gdy dostały podarunki, coś w rodzaju zaliczki na gażę, uciekły mi i skryły się za słupami swoich domów. Nie mogłem dochodzić moich praw jako poszkodowany przez niedotrzymanie umowy, gdyż w tym kraju panowały całkiem inne przepisy w tej materii. Musiałem szukać dalej. Pewnego dnia jeden z tubylców przyprowadził mi śliczną młodą dziewczynę, z wdziękiem noszącą we włosach jakiś jaskrawy kwiat egzotyczny, i wdzięczną jak ten kwiat. Po długich pertraktacjach ustaliliśmy gażę mojej gwiazdy: dwa bale czerwonego perkalu, duże pudło cukierków, pudełko szklanych perełek i dwie wiązki suszonego tytoniu. Moja wdzięczna „gwiazda" nosiła niemniej wdzięczne imię Ngenakan.

Rozpoczęliśmy pracę. Ngenakan okazała się doskonałą „siłą". Wkrótce doszła do takiej rutyny, że nieświadomie naśladowała ruchy i mimikę gwiazd europejskich. Przybrała też nawyczki i maniery gwiazd filmomowych, chociaż nie widziała nigdy filmu, nie mówiąc już o kamerze lub atelier filmowym. Wszystko to jest widocznie cechą nieodłączną talentu aktorskiego, który niewątpliwie posiadała, jako wrodzoną zdolność. Gdy tylko skończył się jej występ, siadała na ustroniu i zręcznymi ruchami poprawiała sobie włosy lub doprowadzała do porządku swoją „garderobę". Często biegła do rzeki, aby obmyć z kurzu nogi, lub wyszukiwała świeży kwiat do włosów.

Wkrótce odkryła Ngenakan, że jest niezastąpioną i że jesteśmy całkowicie od niej zależni. Świadomość ważności swojej osoby zaczęła wnet wykorzystywać i pokazywać fochy, właściwe tego rodzaju osóbkom na całej kuli ziemskiej. Toteż wzorem wielkich gwiazd filmowych przyprawiała mnie często o kłopoty, a całą ekspedycję o nerwowość, i stawiała pod znakiem zapytania naszą pracę. Musiałem wreszcie sięgnąć do drastycznych środków, gdy łagodniejsze okazały się nieskuteczne. Zrobiłem przegląd wszystkich młodych kobiet i w końcu znalazłem jedną, która mniej więcej odpowiadała naszym wymaganiom. Oznajmiłem pewnego dnia Ngenakan, że jest nam już niepotrzebna.

Wolnym krokiem opuściła obrażona piękność nasze grono i skierowała się ku domowi. Sądziliśmy, że jej więcej nie zobaczymy. Ale tu okazało się, że Ngenakan zakosztowawszy raz „desek scenicznych", rozstać się z nimi już nie może. Nie upłynęło bowiem pięciu minut, a nasza piękność zjawiła się z powrotem u nas niosąc ze sobą swoją gażę w postaci wiązanki wysuszonego tytoniu i czerwonego perkalu (cukierki już zjadła, a świecidełek było szkoda). Prosiła nas ze spuszczonymi oczyma, abyśmy to przyjęli od niej w prezencie i pozwolili jej znów uczestniczyć w grze. Tym sposobem odzyskaliśmy naszą gwiazdę. Na otarcie łez zaofiarowaliśmy odprawionej rywalce kilka cukierków.

Niestety w kilka dni później zaczęła się pora deszczowa i praca nasza musiała być przerwana. W zdenerwowaniu czekaliśmy z dnia na dzień na rozchmurzenie się widnokręgu.

Pewnego dnia złożył nam nieoczekiwanie wizytę mąż Ngenakan. Skarżył się przed nami na swoją żonę, że odkąd została aktorką nie chce wykonywać swoich zajęć domowych, jak również pracować na polu bananowym. Cały dzień zajęta jest swoją „toaletą". W towarzystwie kapłana-czarodzieja udałem się do Ngenakan. Znaleźliśmy ją w swoim bambusowym szałasie, zajętą malowaniem paznokci czerwonym sokiem szafranu. Wysilaliśmy całą naszą elokwencję, aby ją przekonać i nakłonić do wykonywania swoich codziennych obowiązków. Nadaremnie. Oświadczyła kategorycznie, że nie może poniżać się do zajmowania się tak poziomą pracą, ona, której przeznaczeniem jest pracować dla sztuki. Dziwi się, jak my możemy brać stronę jej męża.

Po tygodniu przejrzało wreszcie słońce zza chmur i mogliśmy ukończyć nasz film. Wszyscy artyści otrzymali swoją gażę. Ngenakan wyróżniliśmy dodatkową premią w postaci flaszeczki dobrych perfum, znalezionej przez moją żonę przy przeglądaniu swoich rzeczy. W ten sposób zaspokoiliśmy jej ambicję i osłodziliśmy przykrość rozstania. W kilka dni później opuściliśmy uroczą wyspę, odprowadzeni przez tubylców w odświętnie przystrojonych łodziach.

ZE SCEN WARSZAWY

„ROSE-MARIE" W JARZE —

Znana operetka Frimmla „Rose-Marie" doczekała się przeróbki na komedię muzyczną i wystawiona została w teatrze „Jar". Nowy, zresztą bardzo udany scenariusz opracował T. Szeluto, a teksty piosenek napisał młody, utalentowany poeta Z. Ipohorski.

Komedia przygotowana została i wystawiona nader starannie. Zarówno reżyserii jak i wykonawcom żadnych zarzutów postawić nie możemy; głosowo i aktorsko wszyscy wypadli pierwszorzędnie.

Rolę tytułową wykonała pełna czaru i wdzięku słowiczogłosa B. Kostrzewska, a partnerem jej był urodziwy amant, J. Pichelski. Z pozostałych wykonawców na pierwszym miejscu postawić należy St. Daniłłowicza za jego dramatyczną rolę „Czarnego Sępa", J. Orwida i K. Pawłowskiego za to, że wnieśli do sztuki moc szczerego humoru, X. Grey za temperament, H. Tereńkoczy za dobrze uchwyconą charakterystyczną postać ciotki, T. Pasławską za jej piękną Indiankę i Kempę za pełną umiaru grę (czarny charakter).

Do powodzenia sztuki przyczyniają się w dużej mierze efektowne, pełne kultury baletmistrzowskiej tańce układu E. Paplińskiego w wykonaniu naszych świetnych tancerzy: Kołpikówny, Marynowskiej, Kleszczówny, Wolińskiego i innych.

Wymienić tu jeszcze musimy nazwisko p. Galewskiego, którego dziełem są wspaniałe i barwne dekoracje, pochwalić orkiestrę pod dyr. St. Nawrota oraz wyrazić uznanie St. Daniłłowiczowi za bardzo staranną reżyserię.

„Rose-Marie" na pewno nie prędko zejdzie z afisza.



Xenia Grey, K. Pawłowski, J. Orwid i St. Daniłłowicz w jednej ze scen „Rose-Marie".

Fot: Braun

KĄCIK SZACHOWY NR 4

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Roszada. Roszada jest wprawdzie jednym posunięciem, lecz wykonanym przez dwie figury równocześnie tj. króla i wieżę. Jest to jedyny wyjątek od zasady, że ruch z ukończeniem poruszenia jednej figury (bierki, piona) jest wykonanym. Jeden raz podczas partii jest każdemu z partnerów dozwolonym wykonanie posunięcia, które składa się z równoczesnego poruszenia dwóch figur, mianowicie króla i wieży. Ten ruch nazywa się roszadą, wykonać taki ruch nazywa się roszować.

Roszada może być wykonaną przez króla i wieżę, jeśli obie te figury znajdują się na swych pierwotnych miejscach i jeśli nie były jeszcze ze wych miejsc ruszane, a pola między tymi figurami sa wolne (patrz diagram nr 6).

Roszuje się w ten sposób, że króla przesuwa się o 2 pola ku wieży (w kierunku poziomym), a wieżę stawia się zaraz za króla (w jego nowej pozycji).

Jeśli białe (czarne) roszują krótko (0—0) tj. wieżą królewską wówczas stawia się króla na pole gl (g8) wieżę zaś na pole f1 (f8) (patrz diagram nr. 7).

Jeśli białe (czarne) roszują długo, tj. wieżą hetmańską, wówczas stawia się króla na c1 (c8), wieżę zaś na pole di (d8) (patrz diagram nr 8).

W pozycji diagramu nr 6 mogą zarówno białe, jak i czarne roszować albo krótko, tj. wieżą królewska (albo długo), tj. wieżą hetmańską. Jeśli obie strony roszują w strony przeciwne, białe wieżą królewską, czarne wieżą hetmańska, wtedy wygląda to następująco (patrz diagram nr 9).

Roszada jest dopuszczalną tylko pod ściśle określonymi warunkami. Roszada nie może być wykonaną:

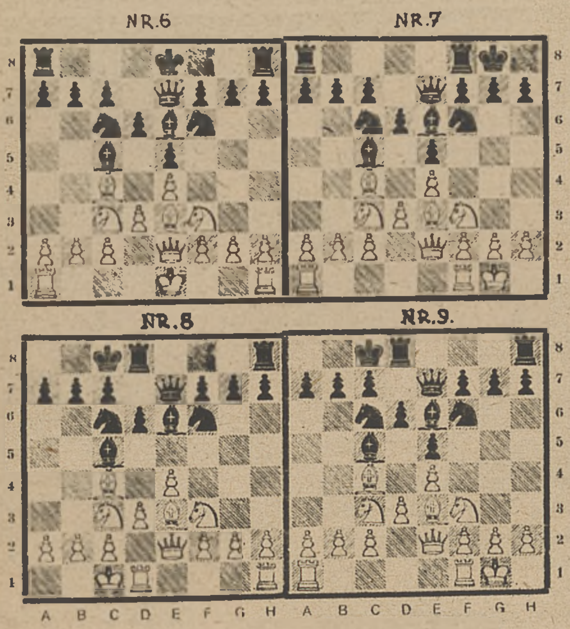
1) Jeśli pole między królem a wieżą (na linii 1 wzgl. 8) jest obsadzone.

2) Jeśli król lub wieża odnośnej strony roszady (lub oczywiście tym więcej obie te figury) były już przedtem raz ruszane.

3) Jeśli król (mający roszować) jest pod szachem. Nie można więc na szach przeciwnika odpowiedzieć roszadą.

4) Jeśli król przy poruszeniu przez pole linii poziomej (1 wzgl. 8) musiałby przejść przez takie pole, które jest atakowane przez bierkę przeciwnika (tj., że na którymś z tych dwóch pól mógłby być zabitym.

5) Roszada nie może być oczywiście wykonaną, jeśliby król skutkiem tego był szachowanym. W końcu zaznacza się wyraźnie, że roszada jest dopuszczalną w tym wypadku, gdy tylko wieża jest atakowaną lub jeśli musi przejść przez pole, które jest atakowane przez bierkę przeciwnika.



CZĘŚĆ OGÓLNA

PROBLEM Nr 1

S. Limbach (Kölnische Ztg 1942)

Czarne: Kd1, Wg1, We1, Ge7, Gf1, Sh7, piony: c5, d2, d7, e2, e4, e6 g2, h3 (14).
Białe: Kb1, Gh5, Se5, pion: e3 (4).
Mat w 3 posunięciach.

ROZWIĄZANIE KOŃCÓWKI Nr 1 (Kubbel):

1. K—d7 e4 2. K—e6 K—g7 (e3 3. K—f6 i 4. g7 mat). 3. K—f5 e3 4. G—c4 h4 5. G—d3 K—h6 6. K×f6 e2. 7. g7 (7. G×e2?? pat) e1 H 8. g8 Sf i 9. G—g6 mat.

PARTIA Nr 2

Białe: W. Czarne: Grünfeld
grana w koresp. turn. Wiener Schachztg 1913.
Hiszpańska.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 Sb8—c6
3. Gf1—b5 a7—a6
4. Gb5—a4 Sg8—f6
5. 0—0 [1]) Sf6×e4 [2])
6. d2—d4 b7—b5
7. Ga4—b3 d7—d5
8. d4×e5 Gc8—e6
9. c2—c3 Gf8—e7
10. Wf1—e1 [3]) Se4—c5
11. Gb3—c2 Ge6—g4
12. Sb1—d2 [4]) Sc5—e6! [5])
13. Sd2—f1 Ge7—g5
14. h2—h3 [6]) Gg5×c1
15. Wa1×c1 Gg4—h5
16. Sf1—g3 Gh5—g6
17. Sg3—f5 Gg6×f5
18. Gc2×f5 0—0
19. Gf5×e6 [7]) f7×e6
20. Sf3—d4 Hd8—d7
21. Hd1—g4 Sc6—d8
22. b2—b4 Wa8—c8
23. Sd4—b3 Sd8—b7
24. Hg4—d4 c7—c5!
25. b4×c5 Hd7—e7
26. We1—e3 Sb7×c5
27. Hd4—b4 He7—c7
28. Sb3—d4 Wf8—f4
29. f2—f3! Sc5—a4
30. Wc1—d1 Hc7—c5 [8])
31. g2—g3 Wf4—f8
32. Hb4×c5 Sa4×c5
33. f3—f4 g7—g6
34. Wd1—f1 Wf8—e8
35. g3—g4 Sc5—e4
36. Wf1—f3 Wc8—c4
37. Sd4—c2 Se4—d2
38. Wf3—f2 Sd2—e4
39. Wf2—f3 We8—c8
40. Sc2—d4 b5—b4!
41. Sd4×e6 b4×c3
42. Wf3—f1 Wc8—c8
43. f4—f5 g6×f5
44. g4×f5 Kg8—f7
45. Wf1—c1 We8×e6 [9])
i białe przegrały.

U W A G I :

1) Ten dawny sposób traktowania należy uważać za najlepszy. 5. G×c6 d×c6 nie daje białym żadnych specjalnych korzyści: 6. 0—0 S×e4 lub 6. S×e5 H—d4; 6. d3 G—d6 lub S—c3 G—g4! lub ewentualnie 6 . . . c5!

2) Zdaniem Grünfelda sposób gry zamknięty: 5 . . . G—e7 6. W—e1 b5 7. G—b3 d6 zasługuje na pierwszeństwo. W ostatnich latach wielu mistrzów (m. i. Aljechin) skłania się do 2 . . . S×e4.

3) Obecnie uważa się za najlepsze 10. Sb—d2 oraz 10. G—e3. W razie 10 . . . 0—0 11. S—d4 S×e5 mógłby powstać wariant wrocławski, swego czasu dokładnie badany i analizowany.

4) Według inż. Gerbeca z Wiednia najlepiej tu grać 12 . . . b4 (patrz kącik szachowy nr 2, część ogólna).

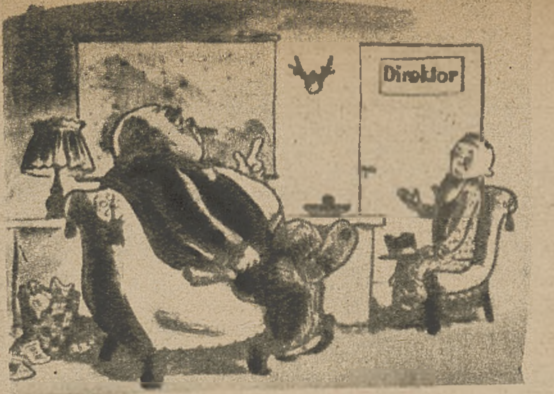
5) 12 . . . d4 13. S—b3 d×c3 14. S×c5! G×c5 15. G—e4 H—d7 16. H—b3 G×f3 17. g×f3 a po 12 . . . 0—0 grają białe według analizy Małkina („Die Schachwelt" 1912): 13. S—b3 S—e6 14. H—d3 g6 15. G—h6 W—e8 16. Sf—d4 Sc×d4 17. S×d4 Sd×4 18. H×d4 G—e6 19. H—f4 z silnym atakiem białych.

6) W partii koresp. Żuk Skarszewski—Grünfeld, 1913 grano 14. S—g3 G×c1 15. W×c1 S—g5 16. H—d3 G×f3 17. g×f3 i czarne grają teraz najlepiej 17 . . . S—h3+ 18. K—f1 S—f4 19. H—f5 H—h4 ewent. 18 . . . g6 19. H—e3 H—h4 itd.

7) Lub 19. S—d4 H—d7 20. H—g4 Sc—d8 21. b4 W—c8 22. W—e3 c5 23. b×c5 W×c5 24. W—g3 g6 itd.

8) Czarne utrzymują się przy przewadze. Jeśli 30 . . . S×c3 to 31. W—d2 (H—c4 32. H×c4 W×c4 33. S×e6) z groźbą H—d6.

9) Końcówka jest wygraną; nastąpiło jeszcze: 46. f×e6+ K×e6 47. K—g2 K×e5 48. K—f3 W—c6 49. K—e2 d4 50. W—f3 K—d5 51. K—d3 S—c5+ 52. K—c2 K—c4 53. W—f4 W—e6 54. W—g4 W—e2+ 55. K—b1 S—d3. Białe poddały się.



Szef biura: — Jestem człowiekiem małomownym. Jeżeli skinę palcem będzie to oznaczać, że pan ma do mnie przyjść!

Poszukujący pracy: — Doskonale! Ja również jestem małomownym. I jeżeli ja kiwnę przecząco głową, to będzie znaczyło, że nie przyjdę.

Das Illustrierte Blatt

— Franku, jest mi strasznie przykro, ale nie mogę cię poślubić, gdyż pokochałam gorąco innego. Masz tu pierścionek . . .

— Jak się nazywa ten drugi, kim on jest i gdzie mieszka? Chcę to zaraz wiedzieć.

— Na litość boską! Franeczku, poczekaj kilka dni na pewno wtedy inaczej na tę sprawę będziesz patrzył.

— Dlaczego? Przecież ja chcę tylko pierścionek zaręczynowy, twemu nowemu adoratorowi odsprzedać.

*

— Co, pan myśli poważnie się ożenić, taki don Juan jak pan.

— Co robić, już mi się kobiety sprzykrzyły.



— *Pomyśl, kochanie, jakby to było pięknie, gdyby jutro w naszym rosole takie gwiazdki pływały?*

Das Illustrierte Blatt

— Gdy umrę, to zasadź, żono ten krzak róży na mym grobie.

— Tak bardzo go lubisz, kochany mężusiu?

— Nie tak znów bardzo, ale wiem jak ciężko ci przyjdzie się z nim rozstać.

*

— Czy zna pan dowcip o roztargnionym profesorze z prowincji, który kupując w sklepie kołnierzyk, podał numer bucików; zaś w restauracji bezskutecznie usiłował pokroić na talerzu swój własny portfel, a z kieszeni wyciągnął kotlet i wołał na kelnera, aby zapłacić?

— Nie, niech mi pan go opowie.

*

— Nie wiem doprawdy, czy zostać przy malarstwie, czy wziąć się do poezji?

— Radzę ci poezję!

— Czy znasz już moje wiersze?

— Nie, ale znam obrazy!

*

— Komedia pańska — powiada dyrektor do autora — jest zbyt krótka. Nie potrwa nawet pół godziny, czemuż więc twierdziłeś pan, że wypełni cały wieczór?

— Wliczyłem z góry: długotrwałe wybuchy śmiechu, oklaski, bisowania i wręczanie kwiatów.

*

— Kiedy mi pan zapłaci dług? — pytan pan Wojciech swego znajomego, który mu był winien większą sumę pieniędzy.

— Zupełnie mi pan tym pytaniem przypomina mego najmłodszego synka.

— Cóż ten synek ma z pańskim długiem do czynienia?

— Ach, on stawia mi zawsze pytania, na które nie mogę mu odpowiedzieć.

*

— Pan wie zapewne, że pieniądze mają swoją wymowę.

— Oh, jeszcze jak wiem. Poślubiłem przecież kobietę z pieniędzmi!

*

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Haniu — pyta się nauczyciel uczennicy — co to jest esteta?

Uczennica milczy.

— A to może mi powiesz, co to jest estetyka?

— Estetyka, jest to nauka o pięknie.

— No to może teraz potrafisz mi już odpowiedzieć na pytanie, co to jest esteta?

— Esteta, to jest przystojny nauczyciel.

*

— Słuchać muzyki z zamkniętymi oczyma jest dla mnie najwyższą przyjemnością, — odzywa się jeden z gości na przerwie koncertu do drugiego.

— Być może, ale nie musi pan przy tym tak głośno chrapać, — odpowiada zagadnięty.

*

— Już byś chciała mieć nowego lisa, Lili? Przecież nie ma jeszcze czterech lat, jak ci sprawiłem futro!

— Zapominasz, mój drogi, że lis go też już nosił jakiś czas na sobie.

*

— Nigdy do tego nie doprowadzisz swoją tresurą, żeby pies był ci ślepo posłuszny, moja droga!

— Poczekaj trochę — odpowiedziała żona, — ja wszystko uzyskuję cierpliwością i wytrwałością. Również i ciebie podporządkować sobie nie przyszło mi lekko z początku.

*

— Wiem dobrze, Haniu, że nie jestem pięknym, ani eleganckim młodzieńcem.

— Oh, to nic nie szkodzi, mój kochany, jesteś przecież i tak cały dzień w zajęciu, a w nocy tego nie widać.

*

Na pranco:

— Tak, to twój brat leży w szpitalu? A co mu brakuje?

— Ach, nic takiego, założyliśmy się tylko, który z nas dalej wychyli się z okna i on wygrał zakład...

Die Grüne Post



W SĄDZIE

— Proszę mi powiedzieć, gdzie pani była w nocy z 13-go na 14-go?

— W łóżku, panie sędzio!

— Czy może mi pani podać na to świadka?

Die Grüne Post



KĄCIK KARYKATURZYSTY



RADOSNA WIADOMOŚĆ

— Hurrrra!! Wiwat! Brawo!!! Córka moja zaręczyła się wczoraj!

— A kto jest tym uszczęśliwionym?

— Ja!

Rys. J. Warzeszkiewicz—Kraków





Na lewo: **ARTYSTA PRZY SORTOWANIU KOLOROWEGO PIASKU**
Istnieje około 40 naturalnych różnych kolorów piasku, które w połączeniu ze sobą stwarzają przeogromne bogactwo dekoracyjnych kolorów i duże możliwości wydobycia pięknych efektów w tej technice.

Na prawo: **ARTYSTA PRZY PRACY**
Przy pomocy specjalnego kleju, zostaje piasek na drzewie utrwalony; tak, że obraz zostaje formalnie jak gdyby wchłonięty w drzewo.

Poniżej: **OBRAZY Z PIASKU**
Doskonała reprodukcja fresku Quido Reni pt.: „Aurora", wykonana techniką piaskową. Czystość rysunku, przejrzystość obrazu i dekoracyjna wyrazistość draperii, oto efekty malarskie, jakie daje technika kolorowego piasku.





Fot: Sendler

W chaosie poglądów i kierunków, jaki cechuje nowoczesne malarstwo, zjawisko „malowania piaskiem" należy uważać jako zwykły eksperyment techniczny, który ma już swego poprzednika w malarstwie japońskim, przy tak zwanym malowaniu w „cień". Znamy wszyscy japońskie drzeworyty kolorowe, w których kolor nieba przechodzi od najgłębszego szafiru w bladoniebieski, wzgórza zielone w ten sam sposób urozmaicają się takim samym „cieniowaniem" od jasnej do ciemnej zieleni, góry zasnuwają się tonowanymi w ten sam sposób mgłami, wiosenne sady różowym kwieciem.

To cieniowanie, czy tonowanie kolorów nie mające nic wspólnego z właściwym pojęciem światła i cienia, ani z obserwacją gry kolorów, jaką nastręcza natura, jest ulubionym środkiem dzisiejszego malarstwa w ogólności, a w dekoracyjnych malowidłach techn ki piaskowej w szczególności.

Niewątpliwie, że techniczna wirtuozeria w malowaniu piaskiem może dać prostymi środkami piękne efekty malarskie: przejrzystość obrazu, uzyskaną doskonałą grą światłocieni; głębię kontrastu, a tym samym spotęgowaną dekoracyjną wartość motywów, ujmującą w kolorze swą świeżością i lekkością, dzięki niezmiernie bogatej swoistej skali barw.

Sposób tworzenia obrazu jest naogół prosty. Na desce lub tekturze rysuje się szkicowo obraz i powleka odpowiednim klejem. I kiedy klej jest świeży, wtedy posypuje się ręką odpowiednie miejsca obrazu, odpowiednim kolorem piasku; przy czym sypanie uskutecznia się bardzo ostrożnie, gdyż raz rzuconego piasku nie jest się w stanie usunąć. Po pewnym czasie klej schnie i twardnieje, a obraz zostaje jakby wchłonięty w drzewo.

Olbrzymie malowidła ścienne, obsypane iskrzącymi się kryształkami piasku, mieniące się tysiącem barw, w świetle kolorowych lamp, pociągają iście kalejdoskopowym bogactwem kolorów. Że zaś kolory są piękne, więc oko na nie z przyjemnością patrzy.



Na prawo:
Portret kobiety wykonany z piasku.
Na lewo:
Wycinek z reprodukcji obrazu Rubensa pt.: „Zdjęcie z krzyża — wykonanej barwnym piaskiem.

PORTRET Z PIASKU